

## **Antoni Libera: Kompot z wisień**

Ceremoniał wizyt „u plastyczek” składał się co najmniej z trzech punktów - fragment opowiadania Antoniego Libery



**Ceremoniał wizyt „u plastyczek” składał się co najmniej z trzech punktów - fragment opowiadania Antoniego Libery z pierwszego numeru Teologii Politycznej Co Miesiąc**

W dzieciństwie i wczesnej młodości – w końcu lat pięćdziesiątych i przez znaczną część sześćdziesiątych XX stulecia – wakacje spędzałem w Orłowie, zacisznej dzielnicy Gdyni, znanej z tak zwanego małego mola i malowniczego deptaku na wysokiej skarpie. Moi rodzice byli tam parokrotnie przed wojną i mieli do tego miejsca szczególny sentyment.

Długo nie pojmowałem tego upodobania. Jako ośmio- czy dziewięcioletni chłopiec postrzegałem Orłowo – zwłaszcza w porównaniu z tłumnym i gwarnym Sopotem, portową Gdynią i wielkomijskim Gdańskiem – jako senną, zapyziałą miejscinę, w której dożywali swych dni starzy ludzie. Dla rodziców jednak ta właśnie atmosfera zdegradowanego kurortu ze śladami dawnej świetności – ów spokój, zaśniedziałość i smętek – była bezcenną wartością.

– Tutaj jest jak przed wojną – mawiał ojciec.

– Tutaj zatrzymał się czas – dodawała matka.

– No właśnie – replikowałem – to tak, jakbyśmy zostali na drugi rok w tej samej klasie.

Z początku główną atrakcją wakacyjną była sama podróż. Do Orłowa jeździło się tak zwaną lukstorpedą – jedno- lub dwuwagonowym pociągiem spalinowym, który trasę z Warszawy Wschodniej do Gdyni Osobowej pokonywał w niespełna cztery i pół godziny. Choć bilety za przejazd ową „Strzałą Bałtyku” albo „Błękitną Falą”, jak nazywano również ów pociąg, były stosunkowo drogie, niełatwo było je dostać. Starania należało zacząć na dobre dwa-trzy miesiące przed wyjazdem – w wydzielonych kasach Orbisu przy ulicy Brackiej. Warto jednak było poświęcić czas i pieniądze, bo podróż lukstorpedą nie miała sobie równych.

Na obskurnym warszawskim Dworcu Wschodnim dwuwagonowy skład, w odróżnieniu od innych pociągów dalekobieżnych, podstawiano na krótko przed odjazdem: pasażerów-wybrańców było niewielu i wszyscy mieli miejscówki. Rozległ się krótki sygnał ostrzegawczy, po czym na tor przy peronie wjeżdżała niebiesko-żółta „torpeda” i warcząc groźnie, stawała przed semaforem. Lotnicze wagony z podwójnymi fotelami przy oknach zwróconymi parami ku sobie (jak w wagonie restauracyjnym) miały obłe, opływowe kształty i rzeczywiście przypominały pociski lub wehikuły przyszłości. Szczególną uwagę zwracały pękate brzuchy, które dawały przedsmak mocy silnika, potężne bufory i trąbka umocowana nad czołem kabiny zwrócona przodem do jazdy. Nawet jeśli nie wiedziało się, gdzie pojazd ten został wyprodukowany, czuło się, że nie jest on „socjalistyczny”. Pasażerowie szybko zajmowali miejsca, po czym pociąg ruszał i od razu nabierał szybkości. W trakcie podróży serwowano napoje i kanapki.

– Prowadziłem ten skład z Mediolanu do Polski – chwalił się raz emerytowany kolejarz, siedzący jako czwarty obok nas (chełpił się również tym, że jako zasłużony pracownik PKP podróżuje tym pociągiem zawsze za darmo). – W pięćdziesiątym pierwszym. Tu straszna zima, nie powiem już jaka, a my prujemy ze słonecznej Italii. To była jazda! Niezapomniane chwile! „Esedka 80”, model z czterdziestego dziewiątego roku, dostosowany do naszych warunków.

– Twój równolatek – zwróciła się do mnie matka.

Przez resztę podróży wyobrażałem sobie, jak gdzieś w „słonecznej Italii”, która wydawała się krajem leżącym na innej planecie, w słynnych zakładach Fiata (jak wyjaśnił to w swojej gawędzie emerytowany kolejarz), montowano te wagony, gdy ja wybierałem się dopiero na świat, i ile ten pociąg już „przeszedł i widział”, podczas gdy ja w tym samym czasie niewiele odbiegłem od domu i podwórka. Słowem: o ileż jest on ode mnie dojrzałszy.

Potem, już podczas pobytu w Orłowie, z braku lepszego zajęcia, wychodziłem nieraz nad wieczorem na przelotową aleję Zwycięstwa i w miejscu, z którego roztaczał się widok na nasyp kolejowy, czekałem, aż punktualnie, dokładnie tuż przed dziewiętnastą, przemknie jak błyskawica jedno- lub dwuwagonowy skład „Błękitnej Fali”.

„Codziennie, z łatwością pokonuje tę ponad trzystukilometrową trasę”, myślałem z podziwem pomieszany ze smutkiem, „a ja co? Z domu na deptak albo na molo i z powrotem”.

W pobliżu owego małego orłowskiego mola, w zapuszczonym ogrodzie, mieściło się liceum plastyczne, w którym w okresie urlopowym wydawano obiady domowe. Tam właśnie stołowaliśmy się przez wiele sezonów. Obiadki „u plastyczek”, jak nazywano ten punkt żywieniowy ze względu na absolwentki tej szkoły, które dorabiały tam jako kelnerki (młodsze nie miały do tego prawa), to był cały złożony rytuał, z którym wiązał się specyficzny folklor. Podobnie jak z biletami na lukstordę, wcale niełatwo było zdobyć tam miejsce stałego bywalca. Matka nieraz na miesiąc przed wyjazdem pisała kartkę do sekretariatu szkoły, żeby zamówić stolik na cały miesiąc. „Obiadki” te cieszyły się bowiem

ogromnym powodzeniem, i to zarówno ze względu na „smak i cenę”, jak i właśnie na ową „przesympatyczną obsługę” w osobach dorodnych, atrakcyjnych dziewcząt, nadzwyczaj uprzejmych, a także pozwalających z uśmiechem na takie czy inne zaloty, głównie ze strony starszych, podtatusiałych mężczyzn.

Ceremoniał wizyt „u plastyczek” składał się co najmniej z trzech punktów. Punkt pierwszy był banalny: co danego dnia będzie na obiad. Czy trafi się może doskonały kurczak? Czy na drugie nie będzie przypadkiem słabego śledzia z beczki? I czy do ciasta na deser będzie czy nie będzie podany kompot z „wisień”, jak pisano ten wyraz w odręcznym menu wywieszonym na drzwiach. Po zaspokojeniu pierwszej ciekawości natychmiast rodziła się następna: w jakim sektorze sali znajdziemy wolny stolik. W sektorze A, najbliższym kuchni, B – położonym centralnie, czy C – w pobliżu okien na morze. Z tym wiązała się kwestia obsługi: kto będzie nam dzisiaj podawał. Wysoka blondynka Krysia, dobroduszna Bożenka o wydatnych kształtach czy filigranowa Basia o smutnych oczach? Były to pytania kluczowe, jako że odpowiedź na nie owocowała bądź dreszczykiem emocji, bądź cieniem zawodu, jeśli w danym sezonie dyżurna, powiedzmy, „Krysia” była mniej atrakcyjna od innych. No i wreszcie punkt trzeci: czy podczas danego obiadu: (a) dojdzie do jakiejś zabawnej lub skandalicznej sceny (z powodu nadmiernych zalotów jakiegoś śliniącego się wczasowicza) i (b) czy ojcu, który miał pedagogiczne zacięcie, uda się z Krysi, Bożenki lub Basi – w ramach rytualnych rozmówek – wydobyć jakieś zeznanie, wokół którego będzie można potem snuć takie czy inne spekulacje albo marzenia. Niestety ojciec podchodził do sprawy zbyt pryncypialnie.

– Co pani ostatnio czytała? – pytał tonem światowca pulchną Bożenkę, której zza fartucha wylewał się obfity biust.

– O, nie mam czasu na książki – odpowiadała speszona Bożenka, nalewając z metalowego kubka do talerza porcję zupy.

– Też masz ją o co pytać! – robiłem ojcu wymówki. – Zapytaj ją o coś prostszego. Co robi po maturze? Studiuje? Jak żyje... Gdzie mieszka?

– A cóż mnie to może obchodzić? – prychnął wyniośle ojciec. – To nawet nietaktowne.

– A zawstydząć ją, że nie czyta książek, to taktowne – walczyłem, jak mogłem, o swoje.

– Skąd mogłem wiedzieć, że nie czyta? – odparowywał ojciec. – Zakładałem, że czyta. Jak można nic nie czytać?

Tego rodzaju absurdalne utarczki podczas obiadów „u plastyczek” należały do porządku dziennego. Potem szło się na lody: do budki przy wejściu na molo albo do cukierni Czubaka.

Przyjazd. Plaża i molo. „Obiadki”, lody i deptak. Tak mijały sezony.

Z czasem poznałem Jarka, syna kolejnych gospodarzy, u których zatrzymywaliśmy się w Orłowie, chłopaka nieco ode mnie starszego i samodzielniego, i od tej chwili wakacje „nad chłodnym Bałtykiem” nabrały specyficznych rumieńców. Specyficznych, ponieważ Jarek był życiowym minimalistą. Zacząć trzeba od tego, że miał całkiem inne zainteresowania i upodobania niż ja. Robił skomplikowane modele okrętów, konstruował radioaparaty według własnych projektów i jeździł na motorowerze Komar, który kupił po wypadku za grosze, po czym sam wyremontował i doprowadził do „stanu idealnego”. Właśnie na tym motorowerze jeździliśmy w rozmaite miejsca, aby „załatwić sprawy”, w których wynajdywaniu czy wręcz kreowaniu Jarek był mistrzem. Jarek dość wcześnie pojął, że – aby się w życiu nie nudzić – trzeba mieć zawsze jakiś cel i konsekwentnie kultywował tę filozofię. „Nieważne co, ważne żeby”, tak w największym skrócie można byłoby ją streścić. Ważne aby zawsze mieć coś do zrobienia. I to właśnie dzięki tej filozofii ciągle byliśmy czymś zajęci lub dokądśmy podążali: a to, aby w jakimś zakątku Gdyni kupić... zapasowe szkiełko do lampy Komara; a to by w odległym Gdańsku Wrzeszczu, w małym sklepiku... sprawdzić, czy są już nowe tranzystory z Czechosłowacji, które mieli dowieźć pół roku temu; a to wreszcie, by z pewnym modelarzem z górnego Sopotu... wymienić poszukiwany przezeń numer „Radioamatora” na resztkę specjalistycznego kleju, który był potrzebny do ukończenia modelu „Lusitanii”.

Wśród zawsze posiadanych przez Jarka celów był jeden szczególnie, można by powiedzieć: odświętny, który stał w hierarchii najwyżej. Tym celem były wyścigi żużlowe rozgrywane na gdańskim stadionie mniej więcej dwa razy w ciągu letniego sezonu. Jarek był kibicem lokalnego klubu GKS „Wybrzeże”, który stale borykał się z trudnościami i ciągle

był zagrożony spadkiem do drugiej ligi. Mimo tej niezbyt mocnej pozycji mecze „Wybrzeża” cieszyły się ogromną popularnością i stadion zawsze pękał w szwach.

*Antoni Libera*

Czytaj całość w Teologii Politycznej Co Miesiąc